1847. Nr 11. d. 10 Kwietnia. ROK 6.

Wydawca i Redaktor, Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

Treść przedmiotów: Książka pamiątek, znaleziona przez Gabryellę, i czytana przy kominkowym ogniu. (Ciąg dalszy).—Historya Magnetyzmu, przez J. B. (Dokończenie.) — Stary poemat o Gdańsku, przegląd, przez Prof. J. Bartoszewicza.— Nowości.

KSIĄŻKA PAMIĄTEK

znaleziona przez Gabryellę, i czytana przy kominkowym ogniu.

(Dalszy ciąg.)

III.

Przy obiedzie wesoła i dowcipna pustota Romualda jeśli nie starła zupełnie, to przynajmniéj zgłuszyła jego lekkomyślnością wywołane wrażenia. Marya Regina wprawdzie chmurną nieco i mało mówiącą była, ale jéj ojciec, co się rzadko zdarzało, w dobrym humorze uśmiéchał się kiedy niekiedy i naczesywał, po bokach skroni już tylko rosnące, włosy. Pan prezes zwykle hypokondryczne usposobienie cierpiący, usuwał się od towarzystwa, dzieciom wszelką wolność zostawiał, rzadko był razem z niemi widywany i tylko, jak się późniéj przekonać mogłem, od czasu do czasu niespodzianemi dziwactwami, zawsze w tajemnicy rodzinnego kółka zamkniętemi, dawał im swojéj ojcowskiéj powagi świadectwo. Długa biurowa praca

stargała mu siły, ciągłe siedzenie rozwinęło skłonność do przewyższającego w nim żółciowego systematu i kiedy po trzydziestu latach uzyskał znaczną bardzo emeryturę, kiedy mógł swobodnem życiem w wolnym zupełnie czasie odetchnąć, on czasu tego użył na zamknięcie się przed ludźmi, na zmartwiałość, nie na wypoczynek. Dziwny przykład Urzędnika-Machiny, który po za obowiązkowość swoję nie wychyli się w żadne pojęcia i w zajęcie żadne. Celem pracy jest mu praca, przyszłość dla niego w hierarchicznem komissoryatu rozkładzie, a nadzieja, w spoczynku na starość, której może niedoczeka, lub z którą potem sam nie wie co ma robić. Dziś gdy pomyślę sobie, że Marya Regina wzrosła wśród tych dwóch serc męzkich tak rozstrzelonych z sobą, tak do jéj własnego nieprzystających serca— przy ojcu obojętnym, a dziwaczącym, przy bracie niby uczuciowym, a szalonym, słabszym od niéj moralnie, i nawet niższym umysłowo, to dopiero pojmując jéj niewypełnione kobiéce życie, wiele rzeczy pojmuję... wszystko usprawiedliwiam.

Lecz dnia tego, jak mówiłem, Pan Prezes był w niezwykłem usposobieniu— gawędka obiednia się przeciągnęła i dopiero nad wieczorem mogliśmy wyjść z Romualdem.

Ręka pod rękę, w najlepszéj zgodzie przebiegaliśmy alee Saskiego ogrodu śmiejąc się i żartując, kiedy mi się przypomniało, że trzeba jeszcze mojego mecenasa odwiédzić i o drugie posłuchanie na pewne z nim się umówić.

— Rzuć do djabła wszystkie twoje processa, to brzydko, to niemoralnie, pieniać się ciągle a jeszcze w dzień mojego przyjazdu, kiedy nieodgrzebałem żadnéj dawnéj znajomości, kiedybym musiał sam jak pokutująca dusza snuć się między temi ludźmi.

Uspokoiłem go, że co do moralności, moja sprawa niczyjego niemięszała spokoju, a co do rozstania, to bardzo krótko trwać miało, gdyż na zajście i powrócenie kwandrans czasu był mi wystarczającym. Jako więc prosiłem dał mi kwandrans urlopu i powiedział, że u Marego czekać na mnie będzie.

Pobiegłem prędko, załatwiłem się z moim prawnikiem i na czas oznaczony przyszedłem do Marego.

Romualda zastałem już przy kilku próżnych butelkach i w gronie kilkunastu z najmodniejszéj młodzieży naszéj.

— Przybywaj! przybywaj! wołał na mnie we drzwiach jeszcze stojącego, ten kochany Antoś po wcięciu mego tużurka zgadł zaraz, że świeżo z zagranicy wróciłem — chciał się z bliska i kamizelce przypatrzyć a jakeśmy się nosami trącili, poznał dawnego kolegę— pójdź Ludwiku wypijesz za zdrowie Antosia!

Z widzenia tylko znałem nowych towarzyszów Romualda i wcale sobie nie życzyłem w ściślejsze z nimi wchodzić stosunki. Obojętnym ukłonem odpowiedziałem na zrobione mi wezwanie i podaną usunąłem szklankę.

— Cóż to? nie pijesz! zawołał zdziwiony Romuald.

— Gdybyś sobie przypomniał nasze dawne czasy, tobyś wiedział o tém.

— Ach! prawda! na moją duszę prawda, on nigdy nie pił. Jednakże myślałem że przez te lat kilka jużeś się doktoryzował na porządnego człowieka.

— Ja nigdy nie ufam takiemu co nie pije, odezwał się któryś z tego szanownego towarzystwa wietrzników.

— I masz słuszność Fabjanie przywtórzył mu drugi— Kto nie pije musi bydź albo zły, albo głupi, albo chory.

— No, niechże na znajomego naszego Romualda wypadnie że jest chory tylko, z rubasznym uśmiechem wykrzyknął sam Pan Antoś.

— Nie, nie, słuchajcie! ja wam w sekrecie prawdę powiem, zawołał Romuald— Ludwik jest poetą.

— Alboż to poeci nie piją lepiéj niż my wszyscy prozaicy razem? cóż ty gadasz Romualdzie, obruszył się Pan Antoś, ja wiem przecie, że od ich króla aż do ostatniego z posługaczy, do wymiatającego śmiecie po innych, wszyscy na Parnasie lubią się różną zakrapiać hipokreną— a ja wiem co wiem.— Hej garson! krzyknął całem gardłem, dla tego pana bez faworytów szklankę orszady prędko!

Chłopiec poskoczył, a ja zawołałem nawzajem:

— Garson! i przyszedł drugi.

— Dla tego pana z łysiną, karafkę zimnéj wody co prędzéj!

Przyjaciele Antosia zaczęli coś szeptać i coś burzyć się, jak szampan w butelce, lecz Romuald aż się na stół ze śmiechu położył.

— Ha! ha! ha! lubię takie pojedynki!.. wybornie! doskonale! o cóż się gniewacie moi panowie? dajcie pokój Ludwikowi, to najlepszy w świecie chłopiec chociaż się nigdy nie upił.

— I owszem Romualdku, rzekłem powoli z największą spokojnością, dla tego właśnie, że się raz w życiu upiłem teraz już nigdy pić nie chcę — i ponieważ w téjże chwili chłopiec przyniósł mi zamówioną przez pana Antosia orszadę.—Na życzenie krwi zimnéj i zdrowego rozsądku, rzekłem niby ku Romualdowi skłaniając się tylko i całą szklankę duszkiem wychyliłem.

Pan Antoś powstał z krzesła; przybierał się jak widać było do stanowczéj odpowiedzi, bo brwi zmarszczył, piersi nadstawił, ale Romuald tak niespodzianie go za połę od fraka pociągnął, że jeszcze prędzéj siadł niż wstał, a na domiar złego siadając, stojącém przed sobą winem oblał sobie spodnie.

— Ha! wszakże mówiłem, z większym jeszcze śmiechem wołał Romuald, wszakże mówiłem, dajcie pokój Ludwikowi, to dobry chłopiec— to kwakier— to dzikie zwierze— to asceta— z nim jest Bóg i jego święci— kto Ludwika zaczepi, mnie zaczepi— kto przeciwko Ludwikowi rękę podniesie, obleje palce sobie.

Pan Antoś właśnie swoje obciérał i sam nie wiedział czy na mnie, czy na Romualda się gniewać.

— Wielką miałeś Pan słuszność, rzekł wtedy jeden z jego towarzystwa, nasz Antoś jest bardzo przekonywającym dowodem, że z pewnym rodzajem świętych osób niebezpieczną i niewygodną bywa zbytnia poufałość— dla tego też korzystając z cudzego doświadczenia, pozwolicie Panowie, że już ich pożegnam.— Garson rachunek!

— Atoż co znowu, gniewy? doprawdy gniewy? niepozwalam! veto! veto! póki kropla wina w butelce, veto! gniewy na bok! precz z urazami! Gdyby mi kto pącz w głowie zapalił, to jeśli przy blasku jego płomyczków błękitnych dostrzeże choćby cienia złego zamiaru, choćby na łepek od szpilki nieżyczliwéj wam myśli w moim mózgu,

wtedy niech mi go strzałem pistoletowym wysadzi i każe jutro drugie śniadanie u Marego przyrządzić.

— Zostań, zostań Olesiu, rzekł sam Pan Antoś— widzisz przecie że do kieliszka i do szklanki trudno lepszego znaleść towarzysza jak ten łotr Romuald— ja mu przebaczam, nawet muszę tem szczerzéj, że w takim stanie, zmoczonemu, niepodobna mi wyjść na ulicę.

— Prawda, gdyby cię spotkał kto z dobrych znajomych, tożby gotów pomyślić, że się już przed zachodem słońca upiłeś.

— Fe, jak student, przydał Romuald.

— Więc dla zachowania ci dobréj sławy, trzeba zostać, rzekł zwany Olesiem.

— Zostać do północy!

— Do rana!

— Dopóty, dopóki się nie upijemy wszyscy!

— Dopóki aby jeden utrzyma się na krześle!

Słysząc tak piękne zamiary, a widząc się szczęśliwie zapomnianym, chciałem korzystać z chwili ogólnego brzęku na zgodę wzniesionych szklanek i wynieść się nieznacznie, lecz wzrok Romulada padł na mnie w téj chwili właśnie kiedy już za klamkę brałem. Skoczył jak młody kot i rękę mi przytrzymał.

— Tak to pięknie dotrzymujesz Maryi Reginie danego słowa? a jak się upiję, jak pod stół legnę, kto mnie podniesie? kto do domu odprowadzi? kto wsparcie da? Wstydź się Ludwiku w potrzebie największéj przyjaciela odstępować—Pić nie chcesz to nie pij— ale zostać musisz boś mi przyrzekł opiekę.— Panowie, ten młodzieniec przyrzekł mi opiekę— niech zostanie— bo się rozbiję... rozbiję się... jeśli sam będę po pijanemu wracał.

— Niech zostanie! niech zostanie! zawtórowali ci wszyscy już dobrze podochoceni szaleńcy.

— Niech zostanie! najgłośniéj odzywał się Antoś— on mi kazał zimnéj wody przynieść, on był przyczyną że szklankę szampańskiego wina wylałem.— Niech zostanie! niech jego błahorodność za karę patrzy jak drudzy piją...

— Jedz przez ten czas ile chcesz tylko, ciastek i cukierków, ja wszystko na mój koszt biorę, rzekł pod brodę mię głaszcząc, rozweselony Romuald.

— Cóż było robić? zostałem — przyznam się nawet, że chętnie zostałem. — Z dzieciństwa surowym dozorem ojca, a późniéj tkliwą oględnością dobréj matki w życie wiedziony, najpierw dla braku sposobności, potem już z własnego przekonania uniknąłem wszelkiego w podobnym rodzaju widoku — i teraz on pogardliwe oburzenie, głęboki smutek budził we mnie, lecz mię przy nim jakaś ciekowość zatrzymywała, jak czasem przy najniedorzeczniejszéj książce zatrzymuje — cieszyłem się że widzę... to, o czem dawno wiedziałem — że widzę ludzi młodych, pełnych siły, zdatności może, trwoniących życie, chwila po chwili, zdrowie kropla po kropli, człowieczeństwo swoje myśl po myśli, godność wszelką uczucie po uczuciu — i kiedy właśnie?... Wtenczas gdy coraz obszerniejsze do działania otwiera się pole, gdy coraz nowych do ukształtenia się przybywa sposobów, gdy sztuki piękne się rozwijają, nauki wznoszą, przemysł zakwita, gdy coraz głośniéj słychać każdą skargę bliźniego, gdy każda nędza wyraźniéj o swoje upomina się prawa, gdy można bydź uczonym, artystą, bogaczem... dla szczęścia swoich współbraci.— Oh! doprawdy, z zajęciem patrzyłem, i rozważałem na takim tle, taki dziwnéj sprzeczności obrazek.— A gdy rozważałem, oni pili tymczasem . . . Ej! splunąć tylko warto na ich wspomnienie, bo jakże piły nawet te lalki ogładne? Po tysiącznych przechwałkach i odgróżkach, za godzinę już ociężały zużyte zbytkiem, a nigdy żadnym hartem nie wzmocnione głowy. Szampańskie wino, bokiem drżących w ręku kieliszków, zamiast do gardła, na suknie i podłogę się lało. Płaskie nieprzyzwoite żarty, zbezcześcione imiona kobiét, gęste kłęby dymu, wszystko to razem zmięszało się w jakąś brudną, błotnistą massę— tylko nad owym brudem, nad owem błotem, Romuald sam jeden królował przytomnością swego pijaństwa, bystrością dowcipu. Pewna szlachetność ułożenia, pewna przyrodzona jego organizacyi piękność w tych nawet chwilach go nieodstępowała. Żal mi się zrobiło tak nikczemnie trwonionych zdolności, byłbym niewiem co oddał, gdy-

bym go mógł był wziąść jak dziecię na ręce, unieść daleko z téj moralną zgnilizną zatrutéj atmosfery i stawić gdzie w świeżem powietrzu, pod jasne słońca promienie, pod uczciwych ludzi oczy.

— Hej karty! hej! stolik! wrzasnął nagle jeden z bohaterów kieliszkowych,— i waza pączu ananasowego!

Romuald zaraz sięgnął ręką do kieszeni i wydostał pełną, przez delikatną siatkę jedwabiu, złotem i srebrem świecącą sakiewkę: mniéj dbałem o to, że ta sakiewka prędko bardzo mogła się wypróżnić w ręce wołającego jegomości, który prawdę mówiąc, zdawał mi się trochę mniéj pijanym, niż sam chciał się nim okazywać, lecz wiedziałem że podobny wstęp Romualda mógł jak najgorzéj uprzedzić o nim tych właśnie, których ja opinję najwyżéj ceniłem sobie— pomyślałem o Maryi Reginie i przedsięwziąłem do uprowadzenia Romualda wszelkich dołożyć starań.

Niespodzianą pomoc w tym względzie przyniosło mi nadejście kilku innych paniczów, którzy na ostatni akt modnego baletu przyszli widzów liczniejszych zamawiać.

— Ty z nami, rzekł Romuald kręcąc nielitościwie guzikiem mego surduta.

— Nie, lecz ty za mną odpowiedziałem mu po cichu.

— A to co się ma znaczyć? zawołał i szarpnął tak mocno że mu aż mój biedny guzik w ręku pozostał.

— To się ma znaczyć, jak najspokojniéj odpowiedziałem znowu, żeś mi guzik oberwał.

— On się sam odpruł, dowiodę ci że się sam odprół, powtarzał ze zwykłym pijanych uporem, gdym go wziąwszy pod rękę nieznacznie ku drzwiom prowadził. W progu zatrzymał się i spytał raz jeszcze:

— Ty z nami Ludwiku?

— Z tobą, z tobą, aż do jutra, odrzekłem na prędsze uspokojenie.

— No, to prowadź, bo ja mam kuroślep po zachodzie, po zachodzie... no dokończże.

— Po zachodzie słońca.

— A widzisz że nie zgadłeś! po zachodzie błękitno tlejącéj wazy pączu i konstelacyi dwunastu wina butelek, ha! ha! ha! jakiś ty nie-

domyślny, chyba i tego nie zrozumiesz także, iż nie ja ci oberwałem guzik, tylko on sam się odpruł.

— Sprobuj tłomaczyć, będę pilnie uważał.

— Oto najpierw mój Ludwisiu, ja guzika niechciałem obrywać, a kiedy kto niechce czego zrobić, choć zrobi, to nie zrobił tylko się rzecz sama przez się zrobiła. W tym aforyźmie, leży cały stosunek ludzkiéj woli do przypadku — jadę prosto z Berlina, wierz mi ślepo, bo przez całą godzinę słuchałem filozoficznéj prelekcyi i przez całą noc piłem z przyszłemi filozofami. — I zaczął daléj w najpocieszniejszym sposobie o przeznaczeniu rozprawiać.

— Wiesz co Romualdzie, że księżyc bardzo w porę nam świeci, odpowiedziałem szczęśliwy, iż mi się udało baczność jego od ulic któremi go prowadziłem odwrócić.

— Dla czegoż to mój Panie?

— Bo przytem co gadasz, to mi tak ciemno, że moglibyśmy obadwa, gdzie w rynsztok się zatoczyć, a byłoby trochę niewygodnie bo widać przed chwilą ulewa spadła i dosyć są pełne kałuże.

— Oh! ja wiedziałem, że mię niezrozumiesz od razu; tobie ciemno, a mnie każdy wyraz świeci w głowie niby gazowa lampeczka, ot teraz naprzykład z guzika zrobił się pyszny fajerwerk, młynek ognisty, w koło którego wiszące pozrywane nitki, jak wstążeczki promienne się kręcą, a tobie ciemno, tobie ciemno bo nic nie piłeś... dudku.

Na ten ostatni wyraz, w jego zwłaszcza położeniu wymówiony, szczerze śmiać się zacząłem.

— Z czego się tak śmiejesz? zapytał.

— Z jednego przysłowia, które mi na pamięć przyszło.

Romuald, jak to już powiedziałem, choć pijany, zachował całą dowcipu swego przenikliwość— stanął, a obejrzawszy się na wszystkie strony:

— Hola! hola! mój panie zawołał, przysłowia są mądrością narodów, więc nie mogą bydź głupstwem ludzi „dudka w pole wyprowadzić, choć się nie jednemu chciało, nie każdemu jednak udało.“ Myślałeś zapewne, że ja pijany jak bela, że mię zapakujesz do łóżka

i w dodatku przekonasz iż to jest loża, z któréj mogę wszystkie Sylfidy na kwiatkach tańczące widziéć. Mocno wdzięczny, jak najwdzięczniejszy panu dobrodziejowi, niech się dłuższą opieką nie trudni, bardzo proszę...

— Ależ słuchaj Romualdzie...

— Niczego nie słucham, taki pijany jestem, że ze mną jak z uczciwym człowiekiem mówić nie warto, chyba mię teatr wytrzeźwi.

— Dla tego właśnie, że tak pijanym nie jesteś, usprawiedliwisz mię zapewne gdy się lepiéj wytłomaczę. Tych ludzi, wśród których cały wieczór straciłeś, ja znam dobrze....

— Znasz, a to kłamstwo wierutne, jeszcze nim przyszedłeś powiedział mi Antoś, że wcale z niemi nie żyjesz.

— I powiedział prawdę, bo nie żyję dla tego właśnie, że ich znam.— Wierz mi Romualdzie, gdyby do sprawiedliwego rachunku między ludźmi przyszło, jeszczeby najlepszemu z tych wietrzników, żaden uczciwy człowiek nie chciał ręki podać.

— Jakto? czyżby to byli tacy... chevaliers d'industrie quasi złodzieje.

— Oh! teraz już rzeczy właściwém nie oznaczają się nazwiskiem. Ci panowie kradną tylko społeczeństwu procent od swoich zdolności— rodzinie kosztowne utrzymanie bez wzajemnéj pracy, kobiétom dobre imie, a sobie jedni drugim piéniądze przy zielonym stoliku, lecz ich nie zamykają do prochowni przez grzeczność towarzyskiego kodexu, który na ten rodzaj kradzieży inne słowa wymyślił i tylko lekkomyślnością, lub przy większéj surowości, rozpustą go zowie...

Zdawało się że Romuald z wysiloną uwagą mię słuchał, gdym przestał mówić, nacisnął sobie kapelusza, i prędko w tył się wrócił, a byliśmy właśnie już na Wierzbowéj ulicy. Widząc że ku teatrowi dąży poskoczyłem za nim.

— Gdzież ty idziesz Romualdzie? wspomnij sobie tylko że w piérwszym dniu twego powrotu z zagranicy siostra ma prawo na wieczór cię czekać.

— Ma prawo—niezaprzeczone prawo—możesz nawet iść do niéj,

możesz przyrzec, możesz zwiastować mój powrót za pół godzinki, za godzinkę, ale teraz puszczaj... puszczaj bo zapomnę.

— Czego zapomnisz?...

— Twojéj przemowy, odniosę ją ciepłą jeszcze Antosiowi i tym drugim trzpiotom, na scenę wstąpię, całéj publiczności wydam jak lekcyę, aż do ostatniego przecinka niech się wszyscy poprawią, upamiętają— bo to jest tak śliczne, tak wzruszające, tak nowe... i całym głosem śmiać się zaczął i tak śmiał serdecznie pod obadwa boki ująwszy, że go aż jakiś jegomość, zapewne w złym humorze bo długo na przejściu czekający, trochę zbyt mocném poruszeniem z trotuaru na bok usunął. Zły los padł lakierowanym butom mego towarzysza i pośliznęły się niespodzianie w stos na wywiezienie przygotowanego błota. Mówię o butach tylko, bo w gatunkach metafory uczyłem się że część za całość brać można.

— Niech cię porwą wszystkie przeszłe i przyszłe djabłów pokolenia, z których ty sam pochodzisz przeklęty niezgrabjuszu — zawołał na prawdę rozgniewany Romuald mażąc się żółto-glansowanémi rękawiczkami w rozwilgłem oddawna błocie...... a to mnie umalował, i myślić nawet niemożna, żeby się ludziom na oczy pokazać.

— Szczęściem przynajmniej, że do domu blisko.

— Dziękuję za to szczęście, nigdy w życiu takbym się przed Maryą Reginą nie stawił. Wié ona, bo sam nieraz opowiadałem i opisywałem, że lubię z przyjaciołmi pohulać, butelek dużo natłuc, w mieście czasem hałasu narobić, lecz co innego tak sobie o wesołem życiu artysty pogadać, a co innego przyjść zbłoconym, przesiąkłym wyziewami tytuniu, pączu i wina.— Wolę mój dobry Ludwisiu do ciebie na noc się zaprosić.

— Może jednak siostra będzie o ciebie niespokojną...

— Najpewniéj że nie, a choćby nią i była, wierz mi to jeszcze lepszém dla nas obojga niż gdybyśmy w podobnéj spotkali się chwili.

Za te ostatnie wyrazy Romualda, jeszcze staranniéj obtarłem go moją chustką do nosa, jeszcze spieszniéj i chętniéj sprowadziłem najwygodniejszą ze stojących przed teatrem dorożek.

— Ty chyba w Antypodach mięszkasz, rzekł do mnie gdyśmy

w odludniejsze strony miasta wjechali, będę miał czas się wyspać nim na miejscu staniemy— I w istocie głowa jego przepełniona szumem niedawnéj hulanki, powoli na piersi mu zwisnęła, lecz nim usnął zupełnie, dorożkarz zatrzymał się właśnie przed cichym dworkiem Slusarza.— Jakiś żal serce mi ścisnął, że do owych białych pokoików uświęconych śmiercią, a bezwątpienia łzami mojéj nieznajoméj— będę musiał na pierwszą gościnę wprowadzić na wpół-pijanego trzpiota.— Musiało go przerwane drzemanie rozdrażnić bo wyskoczył z powozu jak oparzony i tak zaczął pięściami do drzwi kołatać, że aż Małgosia przestraszona bosemi nogami z łóżka się zerwawszy, długi czas otworzyć nam nie mogła, bo jéj ręce z przestrachu drżały i klucz w dziurkę nie trafiał.

— Adyć przez Boga! cicho bądźcie moi panowie! wołała na nas, bo się gospodarstwo przebudzi i dzieci polękają.

Ostatnia ta uwaga skłoniła mię do użycia fizycznéj przeciw Romualdowi siły, gwałtem zatrzymałem mu ręce, a tymczasem i Małgosia drzwi przed nami rozwarła.

Na widok poczciwéj kobiéciny, z głową bez czépka, trochę łysą i trochę potarganą, z zarzuconym jak chustka na koszulę szlafrokiem, Romuald strasznie się skrzywił, wyszczérzył na nią zęby i śmiejąc się szalonym śmiéchem co prędzéj wbiegł na schody.

— Przepraszam panią Małgosię za mojego kolegę, rzekłem do niéj gdyśmy sami zostali, wielki to pustak, a w téj chwili niespełna rozumu— tylko dzisiejszą noc u mnie przepędzi— gdyby gospodarz jutro spytał o przyczynę hałasu, powiédzcie mu to odemnie i przeproście także— dalibóg nie moja wina— raz pierwszy i ostatni.

— Gdyby też co dzień tak bydź miało toby się człowiek i pieniędzy i wszystkiego wyrzekł, mruczała niby sama do siebie pani Małgosia, niechwal pogody przed wieczorem, człowieka przed śmiercią... dzisiaj zrana mój Boże... a piękna mi noc teraz.

— No, no, nie gniewaj się na mnie pani Małgosiu, przyrzekam poprawę, więcéj tego niebędzie, mówiłem z uśmiéchem idąc na górę— a dobra Małgosia choć jeszcze sobie coś szeptała, świeciła mi jednak póki na ostatnim niestanąłem schodzie.

Romualda już zastałem rozebranego i w rozmysłach stojącego przed mojem łóżkiem.

— Powiédz mi Ludwisiu, rzekł piędzią mierząc szerokość posłania, na którym ty zwykle sypiasz boku...

— Jakto! na którym boku?...

— Bo że sypiasz na boku to pewny jestem.

— Dla czego?

— Dla tego że jesteś prześlicznie zbudowany chłopiec, wązki w krzyżu, ale tak szeroki w plecach, iż gdybyś tutaj na wznak się położył, toby cię obie krawędzie w same łopatki gniotły.

— I wnosisz z tego, że tobie także niewygodnie będzie?

— Oh! mnie, to zupełnie rzecz inna, ja chudy jak szpileczka ale mam. . . .

— Myśl o sobie tylko, dawnéj gościnności zwyczajem ustępuję ci całego łóżka.

— A co sam z sobą zrobisz?

— W tym fotelu się prześpię.

— Przed próżnym stolikiem to sztuka, mnie się podobne udaje lecz wtedy jedynie gdy na stoliku szkła dużo, dużo.

— Ej nie obmawiaj sam siebie, niebyłbyś zyskał takiego między artystami imienia, gdyby ci wiele nocy marzeniem i pracą nie zeszło.. Przecież pamiętam jak na pensyonie naszym pod strych raz uciekłeś, grałeś aż cię dopiéro z rana stary sługa nad skrzypcami uśpionego zastał.

— A francuz się wściekał potém, że mu tak zgrabnie z sypialni umknąłem, dobre czasy!

— I niedawne czasy.

— Oh! bardzo dawne mój kochany, wszak sam powiedziałeś, że między niémi a mną, coś pękło — coś zerwało się...

— To można jeszcze naprawić...

— Naprawić? ha mój Panie, ja znowuż nie widzę żebym tak bardzo był zepsuty.

— Jednakże choć troszeczkę, przyznaj sam Romualdzie.

— Co? czy dla tego, że w łóżku nie na fotelu sypiam? a to mi dziwny moralista.

— Nie, lecz dla tego bo niepojmujesz, że można spać inaczéj.

— Pójdź niech cię uściskam, zdjąłeś mi kamień z serca— mnie sumienie wyrzucało twoją niewygodę, a teraz spokojnie oczy zamknę i snem sprawiedliwych zachrapię, kiedy tak lubisz bohatersko całe noce na krzesłach przesiadywać.

— Jeśli to ma do twojéj spokojności się przyłożyć, to ci powiem nawet, że wczoraj dobrowolnie téj przyjemności użyłem.

— Pisałeś? czytałeś? improwizowałeś?

— Improwizowałem poczęści.

— Na jaki temat?

— Na bardzo smutny.

— To jest symptomat niebezpiecznego zapalenia serca.

— Mylisz się Romualdzie, tylko głowy.

Romuald leżący od chwili powstał nieco, wsparł się na łokciu i badawczo patrzał w twarz moją bo zapewnie, myślał że to do jego siostry stosuję.

— W tym pokoju, mówiłem więc daléj, w tém samém miejscu na którém fotel stoi, umarła przed rokiem piękna, młoda, jak się zdaje bardzo nieszczęśliwa kobiéta.

— Ach temat prześliczny, gdybym miał skrzypce tobym ci go wygrał zaraz.

— Dla mnie strónami skrzypcy były wszystkie mózgu gangliony, jak zaczęły grać i dziwaczyć, to nad ranem dopiéro się położyłem.

— Wiesz co Ludwiku, elektryzuje mnie twoja wrażebność, podaj choć linję ze stolika, choć szczypce od pieca — będę grał, będę śpiéwał, jestem natchniony! — śmierć młodéj dziewicy....

— Podobno była już mężatką.

— Kiedy ci mówię Dziewicy... jak gdybym słyszał... Wietrzyk w liściach szeleści, ptaszek się odzywa... ona wzdycha... jest biało ubrana... bardzo blada...

— I owszem, miała wypieczone suchotnicy rumieńce.

— Bardzo blada, ciemne włosy na ramiona spadają.

— Niezgadujesz, blondynka.

— Co ci do tego. — Włosy ciemne, postać jak marmurowy nagrobek na łóżku wyciągnięta... Zachód słońca.

— Nic a nic nie zgadujesz Romualdzie, ona umarła w nocy i siedząc na fotelu.

— A! ty mnie ciągle przeszkadzasz.

— Mnie jakoś przykro że sobie z tego zdarzenia żartujesz.

— Ja żartuję? Broń Boże! jeszcze mię nieznasz — Kiedy mi czasem podobny obrazek do głowy, wpadnie to muszę go sobie najpiérw w najdrobniejszych szczegółach wycieniować, a potém wyszukać stosownych tonów i akordów. — O gdyby tu skrzypce były! usłyszałbyś dopiéro... Słońce bądź zdrowe na wieki, ty grzejesz a mnie już zimno, ty świécisz jeszcze a mnie grobowym cieniem oczy już zachodzą. Żal słońca, ciepła, jasności. Ale jutra żal najwięcéj. Jutro to miała bydź młodość moja. Skocznych tanów muzyka. — Wesołéj nuty piosenki. — Mleczne perły na białéj upięte szyi. Suknia jedwabna w lekkim biegu szeleszcząca. — Długi mój warkocz misternie spleciony. — Wianek z róż krasnych na głowie. — Jutro to miało bydź szczęście moje. — Wrony konik przed okienkiem. — On, mój piękny przy okienku. Ciche słowa, głośne westchnienia. — Ściśnienie ręki. — Niebo całe w duszy. — Ach! i piérwszy pocałunek. — Jutro to miało bydź życia uświęcenie. — Przysięga żony. — Modlitwa kobiéty o jasnego u Stwórcy aniołka. — O aniołka do wypieszczenia na ziemi, do przytulenia na sercu. — Jutro to miała bydź spełniona matki mojéj nadzieja — Prawda moich marzeń młodych. — Cel mojego przeznaczenia. — Piękność, miłość, radość, cnota. — A mnie, jutrem będzie — Grób! — Ludwiku! czy pojmujesz jaki to śliczny rozdzierający akord złoży to jedno słowo — Grób. — Potém się tylko niby dzwony kościelne odezwą. — Niby echo początku piosnki jak echo wspomnienia dobrych ludzi za młodą umarłą — i — pauza — i cichość głucha....

A dziwaczny artysta, własnych wyrazów rozmarzony dźwiękiem, podparł głowę na ręku, zadumał się, i takie w twarzy jego widać

było natężenie, jak gdyby słuchał wewnątrz siebie tajemniczego głosu.

Nieprzerywałem milczenia bo sam z zajęciem patrzyłem na tę piękną młodzieńca postać uwiniętą w białe prześciéradło, niby w starożytną grecką draperyę, spoczywającą w ułożeniu tak wdzięczném, poważném, szlachetném, że się zdało mistrzowskiém dłutem snycerza wykonane.

Gdyby nie czarne włosy, i lekki wąsik jego, byłbym miał, ja co tak się w starożytnych zaczytałem poetach, najlepsze wyobrażenie Endymiona, tém więcéj że, przy zgaszonéj świécy, blade promienie księżyca objęły go w koło niby srebrzystym Bogini uściskiem.

Po chwili dosłyszałem że westchnął, ręka mu się osunęła, głowa na poduszkę schyliła, i usnął, usnął piękny, spokojny, jak dziécię. Ileż to sprzecznych żywiołów zmięszało się czy skłóciło na utworzenie tak bogatéj, tak kaprysnéj, tak niedorzecznéj a tak zawsze jednak prześlicznéj natury! Pewny byłem że z początku chciał tylko wyszydzić moją łatwość do rozmarzenia się nad byle przedmiotem, lecz pewniejszy jeszcze, że w końcu sam uległ wpływowi niewypowiedzianych wrażeń, że był rozrzewniony, wzruszony, tęschny, jak anioł wygnania za lepszym gdzieś światem.— Długo, długo patrzyłem na niego...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

HISTORYA MAGNETYZMU

—

(Dokończenie.)

O natężeniu magnetycznem kuli ziemskiéj na różnych punktach jéj powierzchni.

Natężenie magnetyczne kuli ziemskiéj ciągle zwracało na siebie uwagę Grahama; on to piérwszy postrzegł zmiany dzienne w igle magnesowéj. W r. 1629 uważali też zmiany Muschenbrok i Lemonnier, również w r. 1776 Saussure, Borda i wielu innych fizyków i żeglarzy; lecz Borna piérwszy użył sposobu pewniejszego dla oznaczenia tego natężenia z większą ścisłością aniżeli jego poprzednicy.

Dodać tu należy, że to we Francyi piérwszą myśl powzięto oznaczenia przez obserwację natężenia magnetycznego kuli ziemskiéj na różnych punktach jéj powierzchni. Jakoż członkowie Akademii umiejętności mając sobie polecone urządzenie Instrukcyi przy wyprawie statku La pérouce, zalecili uważanie czasu trwania kołysań igły w kierunku nachylenia, w stanowiskach bardzo odległych, a to w celu oznaczenia różnic między natężeniami sił magnetycznych odpowiednich tym stacyom.

Obserwacye zdradne w tym przedmiocie z nieszczęśliwym okrętem La pérouce zaginęły, lecz przepisy wskazane przetrwały i tych korzystnie użył Ronel towarzyszący wyprawie d' Entrecasteaux w jego podróży do wyszukania La pérouce. Wypadki dostrzeżeń wykona-

nych w r. 1792 i 1793 na ziemi *Van-Diemen* i *Amboine* ustaliły tę prawdę, że natężenie sił magnetycznych powiększa się idąc od równika do każdego z biegunów.

Humboldt w podróży swéj do Ameryki odbytéj w przedziale od r. 1798 — 1803 usunął wszelką wątpliwość jakaby mogła zachodzić co do wypadku głównego odkrytego przez Rosseli'a, dowodząc licznemi obserwacyami z największém staraniem wykonanemi, że natężenie siły magnetycznéj ziemi, zmienia się w różnych punktach. Od tego czasu fizycy i podróżni ciągle starali się wyznaczyć natężenia sił magnetycznych ziemskich. Humboldt szczególnie zwrócił uwagę na ustalenie praw zmiany tego natężenia w różnych szerokościach, zapewniając się piérwéj że magnetyzm jego igły nie zmienił się znacznie. Wstępując na wysokość Orenoki i Pico Negro podczas lata 1800 r., odkrył; że natężenie to powiększa się idąc od szerokości niższych, do biegunów.

Jemu także winniśmy odkrycie bardzo ważne, to jest że linije isodynamiczne, czyli równego natężenia magnetycznego, nie są równoległe do linij równych nachyleń. Wszystkie wnioski Humboldta stwierdzone zostały licznemi postrzeżeniami wykonanemi w czasie wypraw Angielskich do krajów biegunowych i w podróżach odbytych na około świata przez żeglarzy francuzkich.

W przedziale od r. 1805 do 1806 Humboldt i Gay-Lussac uważali natężenie magnetyczne we Francyi, Szwajcaryi, Włoszech i Niemczech za pomocą ruchów igły magnesowéj poziméj. Podobne dostrzeżenia czynił Major Sabine w latach 1818, 1819, 1820, podczas dwóch swoich podróży do ciaśniny Bafnickiéj i do Morza Biegunowego, mając przytém wzgląd na poprawki pochodzące z wpływu temperatury.

Przez pięć lat to jest od r. 1819 do 1824 Hansteen czynił dostrzeżenia nad natężeniem magnetyczném w Norwegii i na brzegach morza Baltyckiego; w roku zaś 1825 na brzegach zatoki Botnickiéj.

Później zajmowali się tymże przedmiotem, kapitanowie Trebsen Keilau, Boeck, i Erman na brzegach Baltyku i Niemczech. Major Sa-

bin na brzegach podrównikowych Afryki i Ameryki, także w północnéj Europie, w Grenlandyi i Szpicbergu oraz kapitan Lietke od r. 1826 do 1829 w podróży na około świata i wielu innych żeglarzy *)

Wspomniéć tu musimy o obserwacjach kapitanów Freycinet i Duperrey, którzy do ogólnego zbioru, przydali znaczną liczbę obserwacyj ściągających się do natężenia magnetycznego, a które z wielką trafnością rozbiérał kapitan Duperrey.

Od roku 1834 Gauss, Weber i inni obserwatorowie, należący do towarzystwa magnetycznego, zajęli się gorliwie doświadczeniami w celu oznaczenia bezwzględnego natężenia magnetyzmu ziemi, jako też badaniami zmian rocznych, miesięcznych i dziennych, którym takowe podlegają. Pojmujemy jak ważną byłoby rzeczą dla fizyki ogólnéj, gdyby można sprawdzić w każdym czasie, czy siła magnetyczna kuli ziemskiéj na różnych jéj punktach doznaje zmiany. Ponieważ do tego nie można użyć sposobów bezpośrednich, przeto udajemy się do innych, które przedstawiają mniéj lub więcéj trudności w wykonaniu. Poisson użył sposobu mającego tę dogodność, że niekoniecznie potrzeba używać igieł magnesowych zupełnie tych samych, tak co do ich układu, jako też co do stopnia namagnesowania. Ten znakomity geometra pokazał naprzód, że znajduje się pewna funkcya wielkości, któréj ważność niezależy od igieł użytych do doświadczeń, lecz jedynie od magnetyzmu ziemi, z któréj to funkcyi, magnetyzm ten daje się wyprowadzić. Ważność ta, otrzymuje się rachunkiem przez następne przybliżenia, które jednak można posuwać tak daleko, jak sami zechcemy, a przez to można zmniéjszyć błędy doświadczenia podług woli.

Arago prostszy podał sposób na to, a ten polega na własności jaką ma igła magnesowa zawieszona na nitce nad krążkiem metalowym, w ruch wirowy wprawionym Wiadomo bowiem, że igła podczas

---

*) Tablica przedstawiająca natężenie magnetyczne w różnych miejscach ziemi, znajduje się w Tomie VII dzieła: Traité de l'électricité et du magnetisme par Becquerel. stronnica 354 i następne.

obrotu krążka, zbacza z kierunku swego pierwotnego, tym więcéj im większą ma w sobie ilość magnetyzmu. Można się uwolnić od wpływu magnetyzmu ziemi, obracając krążek na płaszczyźnie prostopadłéj do kierunku igły magnesowéj i obciążając małemi ciężarkami koniec igły, ażeby krążek obracający się z pewną prędkością odciągnął ją o pewną liczbę stopni, te ciężarki dałyby poznać miarę natężenia magnetyzmu ziemi. Poisson wskazał tylko sposób na oznaczenie natężenia bezwzględnego magnetyzmu ziemi. Gauss postąpił daléj, bo wprowadził go w użycie, a to według prawidła przez siebie podanego, którego nie możemy tutaj opisywać.

Zmiany w natężeniu magnetycznem.

Natężenie magnetyczne ziemi rozciąga się niewątpliwie i zewnątrz do przestrzeni.— Gay-Lussac i Biot w swéj podróży nadpowietrznéj, postrzegali, że w miarę coraz większego oddalania się od ziemi, magnetyzm zmniejszał się bardzo wolno, gdyż w ruchu kołyszącym téj saméj igły na powierzchni ziemi i w wysokości 7,000 metrów, różnica w liczbie kołysań zaledwo dała się dostrzedz. Jest rzeczą prawdopodobną, że ubywanie natężenia magnetycznego idzie w stosunku odwrotnym kwadratów z odległości, tak samo jak w przyciąganiach planetarnych. Można z prawdo-podobieństwem przyjąć, że gwiazdy, księżyc i słońce, mają również siły magnetyczne, co jeżeli rzeczywiście tak jest, ich wpływ powinien oddziaływać na nasze igły w miarę ich odległości i położenia względem ziemi. Lecz ponieważ te ostatnie wielkości zmieniają się z ruchem ziemi i planet, powinnyby ztąd wyniknąć zmiany dzienne i roczne, jednak nie możemy odnosić do podobnych przyczyn, wszystkich zmian w igle dostrzeganych dotąd; może one wpływają na jednę część magnetyzmu, lecz są inne przyczyny, których nie można zaprzeczyć współdziałania. Hansteen zdaje się być jednym z pierwszych, którzy się zajmowali śledzeniem zmian dziennych i rocznych jakim natężenie sił magnetycznych ziemskich podlega. Z wypadków, które otrzymał, wyprowadzono następujące wnioski: 1^{ód} że natężenie magnetyczne podlega zmianom dziennym.

2re Najmniejsze natężenie ma miejsce między godziną 10 a 11 zrana; a największe pomiędzy godziną czwartą a piątą po południu. 3cie Że i same natężenia średnie miesięczne są zmienne. 4te Że natężenie średnie, około przesilenia zimowego przewyższa znacznie natężenie średnie w odpowiednich dniach przesilenia letniego. 5te Że zmiany natężenia średniego są najmniejsze w Maju i Czerwcu, a największe około porównania dnia z nocą.

Zmiany w natężeniu magnetyczném, były również uważane przez Gaussa i Webera nowemi narzędziami; z dostrzeżeń przez nich wykonanych poznano, że natężenie maleje w godzinach rannych, i dochodzi najmniejszéj ważności o 10 lub 11 godzinie z rana; a poczynając od téj epoki, powiększa się na nowo. Gauss i Weber wykréślili linije krzywe, wystawiające zmiany co do natężenia; tak samo, jak to czynili dla zmian zboczenia. Rozbiérając te linije krzywe, widzimy, iż w każdéj epoce, chociażby w pewném miejscu, nie okazało się żadnéj zmiany w zboczeniu, wszelako także zmiana w natężeniu magnetyczném nastąpiła.

Rozbiór dostrzeżeń magnetycznych.

Gdyby wszystkie postrzeżenia magnetyczne, rozbiérano oddzielnie, według miejsc i epok gdzie były czynione, nie możnaby z nich ustalić ogólnéj teoryi magnetyzmu, i dojść do przyczyn prawdopodobnych zjawisk magnetycznych, należało zatém uporządkować je wszystkie i połączyć w jednę całość. Za pomocą dostrzeżeń, wyznaczono naprzód to, co nazywają *linijami równych zboczeń*, z których spodziéwano się przyjść do oznaczenia położeń biegunów, magnetycznych, lecz te linije nie mają innéj ważności jak połączenie obserwacyj sposobem metodycznym, jak to uważał Duperrey, używając korzystnie zboczeń do nakreślenia południków magnetycznych, takich, jakie dziś uważać należy. Piérwszą kartę wystawiającą linije równych nachyleń podał *Wilcke* w Pamiętnikach Akademii Szwedzkiéj w Sztokholmie w r. 1768. Lemonier wydał podobnąż ze znacznemi odmianami. Hansteen w r. 1819 ogłosił inne. Linije równych

nachyleń mają podobieństwo do równoleżników ziemskich, które je przecinają ukośnie, lecz nie mają takiéj jednostajności jak te ostatnie, i tym mniéj są względem siebie równoległe im więcéj zbliżają się do okolic biegunowych, gdzie okrążają bieguny magnetyczne ze wszystkich stron.

Hansteen mniemał że z kształtu linij równych zboczeń, można będzie przyjść do tego wniosku, że są dwa bieguny magnetyczne w okolicach biegunowych, lecz to mniemanie niezostało powszechnie przyjętem. Duperrey przekonał się, że kształt linij nie może być wypadkiem żadnego z odstąpień jakie postrzegamy w całości obserwacyi, tak co do kierunku jako i co do natężenia sił magnetycznych. Podług niego, linije równych nachyleń, tak jak i linije równych zboczeń, mają tę niedogodność, iż nie są wyrażeniem skutku, zależącego jedynie od działania magnetyzmu.—Między linijami równych nachyleń, jedna zasługuje na szczególną uwagę fizyków, to jest linija gdzie nachylenia niema, a którą nazwano *równikiem magnetycznym.* W r. 1768 Wilcke naznaczył kształt tego równika; Hansteen i Morlet naznaczyli go na nowo, opierając się na licznych obserwacyach zebranych w podróży Cooka, Eckberga, Pantona, i t. p. Morletowi winni jesteśmy łatwy sposób oznaczenia linij krzywéj wystawiającéj równik magnetyczny za pomocą obserwacyj czynionych blisko tych miejsc przez które przechodzi. Wiadomo jest, że Biot sprowadzając wszystkie działania południowe i północne magnetyzmu ziemskiego, do dwóch punktów działania, które mieści w małéj odległości od środka ziemi, przyszedł do wzoru, za pomocą którego, można otrzymać szerokość magnetyczną pewnego punktu na powierzchni ziemi w funkcyi pochyłości igły uważanéj w tym punkcie, w założeniu, iż ziemia jest zupełnie jednorodna. Wzór ten daje się w ten sposób wysłowić: *Styczna szerokości magnetycznéj pewnego miejsca, jest dwa razy większa od stycznéj nachylenia.* Morlet używając tego wzoru, postrzegł, że ten daje się stosować do nachyleń, które nie przechodzą 30 stopni, wypadki otrzymane przez Hansteena i Morleta odnoszą się do równika magnetycznego na rok 1780. W czasie podróży Korwety *La Coquille* Duperrey czynił liczne dostrzeżenia, które mu posłu-

żyły do oznaczenia na r. 1824 równika magnetycznego prawie w całéj jego rozciągłości.

Linije isodynamiczne to jest linije równego natężenia magnetycznego, były wykreślone po raz piérwszy przez Hansteena, na karcie która wyszła w r. 1826; późniéj tenże uczony nakreślił nowe dokładniejsze i karty ich w roku 1832 wydał. Hansteen w tych ostatnich kartach uczynił obserwacye porównawczemi, o ile tylko dozwalały okoliczności, wyrażając ważność każdéj z nich w funkcyi najmniejszego natężenia jakie Humboldt na równiku magnetycznym w prowincyi Peru w r. 1802 uważał.

Linije isodynamiczne czyli równego natężenia, takie, jakie wystawił Hansteen, mają to wspólnego z linijami równego nachylenia, że jedne i drugie, są podobne do równo-leżników ziemskich, lecz nie rozciągają się jednostajnie i nie odpowiadają sobie, to jest że dla równego nachylenia i szerokości, stosunki natężenia magnetycznego przedstawiają ważności bardzo odmienne, co też uważał Humboldt w czasie podróży do krajów podrównikowych nowego świata.

Duperrey wykreślił kartę dla linij równych natężeń, ta jednak nie jest zupełnie dokładna z przyczyny braku obserwacyj z półkuli południowéj, major Sabin ułożył także nowe karty isodynamiczne.

Pozostaje nam jeszcze powiedziéć o tem, co się dotycze linij magnetycznych, to jest o południkach i równoleżnikach magnetycznych. Południki magnetyczne takie, jakie uważa Duperrey nie są liniami przybranémi tylko, lecz je wyznacza kierunek rzeczywisty igły magnesowéj w każdym punkcie ziemi. Dajmy że wychodzimy z któregokolwiek punktu ziemi i postępujemy ciągle według kierunku oznaczonego igły magnesowéj, najpiérwéj ku północy, potém ku południowi, znacząc wszystkie punkta przez które przechodzimy; linija krzywa, łącząca te punkta, utworzy południk magnetyczny. Jeżeli wyjdziemy z innego punktu blisko piérwszego, i wykreślimy tymże sposobem drugi południk magnetyczny, ten ostatni zejdzie się z piérwszym w dwóch punktach położonych, jeden przy biegunie północnym, drugi przy biegunie południowym. Kreśląc na globie pewną liczbę takich południków i znacząc punkta przecięć dwóch najbliż-

szych, miéć będziemy na każdéj półkuli liniję krzywą zamkniętą, powstającą z połączenia wszystkich punktów przecięć. Biegun magnetyczny każdéj półkuli, znajduje się w środku placu zamkniętego wspomnioną liniją krzywą.

Oprócz południków magnetycznych, Duperrey nakreślił na tychże samych kartach, linije krzywe normalne do południków, które z téj przyczyny nazwał *równoleżnikami magnetycznemi* dla podobieństwa z równoleżnikami ziemskiemi.

Teorija zjawisk Magnetycznych i uwagi ogólne.

Wystawienie graficzne wszystkich linij magnetycznych uważać można jako piérwszy krok do rozwiązania ważnego zadania o magnetyzmie ziemskim. Ponieważ kształt i położenie różnych tych linij odmienia się z czasem, z tego wynika, iż ta sama karta nie może wystawiać innego stanu magnetyzmu ziemi, tylko taki, jaki był dla pewnéj oznaczonéj epoki. Gdyby można podać ogólne wzory, któreby stan takowy wystawiały, tedy wprowadzając w nie ilości znane potrzebne, możnaby wyznaczyć działanie magnetyczne wywiérane przez ziemię na igłę magnesową w pewnym punkcie powierzchni ziemi i w oznaczonéj epoce, i wtenczas zadanie o magnetyzmie ziemskim byłoby zupełnie rozwiązaném; lecz zadanie to, jest tak zawiłe, że teoretyk odwoływać się musi często do obserwacyj i wniosków z nich wypływających, jeżeli chce ustalić wzory, któreby dokładnie wystawiały zjawiska.

Wiele dotąd podawano hypotez dla wykrycia przyczyn magnetyzmu ziemskiego. Gilbert pierwszy zrobił to przypuszczenie, że ziemia cała jest wielkim magnesem, którego oś schodzi się prawie z osią ziemską. Podług tego założenia dwa bieguny magnetyczne były blisko dwóch biegunow ziemskich. Hansteen starał się okazać, że powinien się znajdować jeszcze drugi biegun magnetyczny w okolicach północnych, bez którego nie możnaby wyjaśnić wszystkich dostrzeganych zjawisk magnetycznych. Według tego założenia wypadałoby przyjąć, że drugi magnes przenika kulę ziemską w kierunku średni-

cy, któréjby biegun schodził się z drugim biegunem magnetycznym. — Barlow zatrudniał się także dochodzeniem początku magnetyzmu ziemskiego, wyszedł on z téj zasady, że magnetyzm ziemi nie pochodzi od magnesu naturalnego, ale raczéj od massy żelaznéj któraby nabyła magnetyzmu przez wpływ. Następnie usiłował dowieść, że magnetyzm ziemski może miéć początek elektryczny, to jest pochodzić od działania prądów elektrycznych krążących na około globu zgodnie z pomysłami Ampera. Doświadczenia Barlowa w celu utwierdzenia pewności jego wniosków teoretycznych, miały zupełne powodzenie, jakiego z nich mógł się spodziewać. Wszelako Barlow nie ukrywał trudności na jakie trafił dla wytłumaczezia prędów elektrycznych na powierzchni ziemi; pominął on prądy, któreby miały początek chemiczny, a których tworzenie się byłoby trudnem do wyjaśnienia, i dał pierwszeństwo prądom termo-elektrycznym wzbudzonym przez działanie słońca.

Zrobimy tu uwagę, że nie można przyjąć prądow elektrycznych w skałach, gdzie większa część ciał składających warstwy górne ziemi są złemi przewodnikami elektryczności. Dla tego trudno jest utrzymać hypotezę Barlowa; jednak przyznać potrzeba, że zmiany roczne i dzienne igły magnesowéj pochodzą od wpływu słońca, wtenczas gdy ono bawi nad poziomem—musimy zatem przyjąć, że wszystkie cząstki materyalne ziemi, posiadają magnetyzm ulegający zmianom zależącym od wpływów ogrzewających atmosferę, w miarę jak słońce znajduje się nad, lub pod poziomem, w podobny sposób, jak ciepło zmienia magnetyzm pręta magnesowego. Również, bytu prądow hydro elektrycznych, krążących wewnątrz kuli ziemskiéj, w kierunkach stałych, zaprzeczyć nie można.

J. B.

STARY POEMAT
O GDAŃSKU.

(Dalszy ciąg.)

Poemat zaczyna się bardzo formułkowym sposobem. Autor rozmawia z Muzą: pyta się, gdzie idzie i po co? czemu drży, czemu taka bojaźliwa? Ośmiela ją i każe iść daléj. Następuje przemowa do Nymf Gdańskich, żeby pomagały poecie. Ależ, gdzie naprzód zwrócę kroki moje? pyta się sam siebie autor, co naprzód zacznę opiewać? Umysł upada pod ciężarem przedsięwzięcia. Obawiać się trzeba losu Ikara. Odzyskuje przecież odwagę poeta i mówi:

Non ignorabilis hospes
(Pande fores Gedanum!) nec iners tua testa subibo.
Urbs Gedanum salve!

„Otwórz drzwi Gdańsku! Oto nie bez sławy cudzoziemiec, człowiek nie bez talentu, chronię się w gościnę pod zasłonę murów twoich. Witaj mi miasto Gdańskie!" I następuje szereg wykrzykników. Oto powierzchowność miasta, co zachwyciła autora:

....Sic cuncta nitent! Sic omnia rident!
Sic coelum adspectant, sic despectantque profunda!
Vix oculis animoque fides. Quot Tecta, quot aedes
Tot prope sunt *Aulae*, tot celsa *Palatia* et *arces*
Vix *Amphionios* melius nituisse *Penates*
Pergameosque Lares, veteris sedesque *Quirini*
Magnificentius extructas sua viderat aetas.
Nil his triste locis, nil non laudabile cerno

Nil aut plebeium, nil vile aut debile quidquam.
Nec nisi mirandum, augustum, oblectabile, rarum.
Longius ire juvat, Turrim super astra tumentem,
Condentemque Caput video inter nubila coeli
Spectatur quantae Spectata opulentia formae!
Stat juxta Templi non expugnabile robur.
Quae manus haec? Ars quanta? Labor? Quis Mensor? et Autor?
Aspice, quam lepidâ lapides compage cohaerent!
Coctaque materies coeni quàm pulcra rubescit!
Pyramides monstrant quae pegmata! quasvè figuras!
Quae celaturae circlô sunt! Quivè Canales
Panctibus pendent! quamve ostia firma! fenestraeque
Arte laboratae! vario fastigia vitro
In species animosque nitent, lucemque ministrant!
Multus ubique dies intus, fax plurima solis!
Ordine cuncta suo molimina dia loquuntur!
At lubet indugredi, lubet interiora tueri,
Audio nam voces, jam Vota precesque canuntur.....(str. 11. 12).

„Jak wszystko błyszczy! jak się tutaj wszystko śmieje! Jak się pięknie to niebo odbija w bałwanach morskich, a bałwany spoglądają do nieba! Zaledwiebyś oczom i umysłowi wierzył. Ile tu budowli i gmachów, tyle prawie dworców i dumnych pałaców i zamków. Dawne wieki nie widziały wspanialéj zbudowanych siedlisk starożytnego Kwiryna, Penaty Amfiońskie i Lary Pergamskie niebłyszczały więcéj. Nie ma tu smutku na tych miejscach, nie ma nic godnego nagany, nic plebejskiego (!) nikczemnego, słabego. Wszystko wspaniałe, rozkoszne, rzadkie, do podziwienia. Oto wieża wznosi się pod gwiazdy; widzę, jak ukrywa głowę swoję w niebo, aż między obłokami. Jakie bogactwo! jaki styl cudny! Jaka to niezłomna siła murów kościelnych? Jakaż to ręka wzniosła te mury? jaka sztuka? praca? jaki budownik, nakładzca? Spojrzyjno, jak te kamienie w strojnym porządku na sobie spoczęły! jak się pięknie ta cegła czerwieni? Jakie to piramidalne kształty!... jak te rynny zawisły na ścianach! jakie to silne podwoje! i okna z jaką wyrobione

sztuką! te szklanne stropy jak błyszczą różno-kolorowym kryształem i naśladują światło słoneczne!"

Ale słyszy poeta głos,— to śpiewają w kościele. Wchodzi do świątyni. Była niedziela, — święto, kiedy pan „zwycięzca śmierci odżył ze śmierci."

Hac etiam Victor mortis de morte revixit.

Słychać głos piękny, czarowny. Odzywają się poważne, uroczyste organy. Zdaje się autorowi, że uleciał w niebo, pomiędzy aniołów, a tam brzmi ciągle Boska symfonja: „Swięty, trzy razy Swięty i Swięty po wszystkie czasy Ten jest, który był, który pozostanie bez końca." Uniesiony poeta odzywa się wtedy do ludzi bez wiary, dla których Bogiem żołądek, wypędza ich z kościoła, wyrzuca im karczmy i grozi im utratą zbawienia. Ale niedługo reflektuje się, że gniewać się, nieprzystojnie jest w kościele. Jestże to mowa o katolickich obrzędach? Oto przed ołtarzem w śnieżnéj szacie stanał kapłan i śpiewa a lud za nim powtarza psalmy. Ugnij kolano myśli moja! Witaj wspaniała świątynio Gromowładzcy! Witajcie mężowie, pasterze dusz! Witajcie wy, co trzymacie świętą arkę tajemnic! ludu Boga wybrany! którym powierzony jest zaszczyt dbać o całość pańskiéj owczarni! Następują wykrzykniki do kapłanów Chrystusowych, których trudów nie wysławiłby autor, choćby miał sto języków:

Pergite commissas ó custodire phalanges,
Pergite divinis monitis fulcire *Salutem*
Urbis, et assiduis votis convertite fulmen
Quod *Pater* iratus nostras jaculatus in oras,
Suppliciterque preces caelo libate superno,
Restituat *Pacem*, reddat post nubila *Solem*
Jubila post netulas, post luctus gaudia mittat,
Avertat procul hinc incommoda tristia, pansas
Parcarumque manus teneat, pestemque repellat.
At quid desipio? num vos Monitoris egetis? (str. 14)

„O pilnujcie i nadal trzody wam powierzonéj, swojemi świętemi przestrogami przestrzegajcie całości grodu,— przez ciągłe modlitwy odwracajcie ten piorun, który Ojciec Wszechmocny a rozgniewany ciska na ziemię naszą; posyłajcie pokorne prośby wasze przed majestat niebios,— niechaj Stwórca powróci pokój, zaświeci słońcem po burzy, niechaj radość po nawałnicach rozleje, a rozkosz zeszle po płaczu,— niechaj wszystkie smutki odpędzi, zatrzyma ręce Parek już pochylone nad przędzą, i niechaj oddali zarazę. Ależ jak błądzę bezrozumny? Wam-że to potrzeba napomnień?"

Pyta daléj autor sam siebie — co malować ma? I unosi się nad pięknością krzeseł dla Senatorów Gdańskich, przyozdobionych w insignia rodowe, rzędem poustawianych. Zdaje się, że to jeszcze w kościele. Potem chwali malowidła,—niebo, na którém słońce, xiężyc, i gwiazdy. W ten opis wmięszany cały olimp Hellady, Saturn, Mars, Merkury, Dyjana. Jowisz rozgniewany, że jakiś syn Japeta pięknie tak namalował niebo, wstrząsa ziemią i całe to arcydzieło runęło w proch. Może to jaki fakt historyczny, podanie, zaćmione przez wymysł dziki bez poezji.

Wychodzi autor na miasto. Tu uderza go moc świątyń chrześciańskich. Wzmianka o kościele S. Trójcy, S. Piotra, S. Katarzyny, S. Jakóba, S. Elżbiety, Ducha Św. Dziwi się sprzętom kościelnym, bogactwu, dzwonom,— ale „opisywać to wszystko brakłoby mi papiéru i pióroby wystarczyć niemogło; lepiéj więc nie pisać."

Carta prius me deficeret, calamusque notando
Debilis, officium fugeret. Iuvat ista latere. (str. 18)

Dziwi się poeta mnóstwu ulic i zaułków. Mówi o szynkach, piwnicach, sklepach, szpichlerzach, zbrojowniach, pałacach, alejach i t.d. Oto w zbrojowni jednéj kują oręż.

Ten, TA, TA, TEN, TA, fabre fabrorum mente revolvent.

Odgłos ten—to naśladownictwo muzyki,— i oto znów igraszka wyrazów w opisie sześciu tonów: ut, re, mi, fa, sol, la.—

UT Reddat MIseris FAtui SOLlatia LApsus,
UTque Regat MIti FAbrorum SOLE LAbores!

Następuje wyliczenie robót w kuźniach—potem spis rzemieślników mieszkających w Gdańsku, szewców, krawców przekupek i t. d. Czyni autor wzmiankę, że budują tutaj okręty, że są w Gdańsku karczmy, gdzie schodzą się „żołądki z trzody Epikura, samochwalcy, junacy, komedjanci, opoje! — Opisuje szlachtuzy, gdzie ginie tyle stworzeń poczciwych. Mówi że na rynkach gdańskich sprzedają ryby „które Nereus wpuścił do miasta...a które poławiają się w Wiśle, w Habusie, Nagocie, (Nogacie) Modławie, Rhadauni“...Cały ten opis w wykrzyknikach i wykrzyknik kończy tyradę: „o szczęśliwe miasto! o Gedanum felix!.......

Et dubitamus adhuc *caram* Te dicere *Coelo*?

„I będziemyż wątpić jeszcze, żeś Ty niebu miłe?”
Poczem przekręcony wiersz starożytnego poety Rzymu:

O fortunatos cives haec qui bona norunt!
Qui Dominum venerantur, et illi fidere discunt.

O szczęśliwi obywatele, którzy poznali się na tych dobrach, czczą Pana i uczą się wierzyć Panu!”

Wchodzi nasz autor na rynek i przygląda się Ratuszowi (Curia), podziwia ogromną a piękną wieżę, którąby Cezar pochwalił, założyciel kapitolu.

Turrim hanc laudaverit alter
Aurea qui statuit *Capitoli* culmina *Caesar* (str. 22)

To świętéj sprawiedliwości kościół, siedlisko cnoty i mądrości. Widział autor i na Starem mieście drugi Ratusz, któremu poświęcił wspomnień kilka. Żałuje że nie ma stu oczu Argusowych, żeby wszystko widział i ocenił.

Sic ego dum dubito, dumque omnia et omnia lustro;
Huc iterumque, iterumque, iterumque, iterumque volutus
Turritas aedes video; nova *Curia* fors est? (str. 24)

„Kiedy się waham i kiedy wszystko po kolei przeglądam, to tu, to tam obracając się, spostrzegam gmach z wieżami—jestże to nowy ratusz?” Nie--to zbrojownia. Czego tu nie ma, w téj zbrojowni?

. . . . tot ferramenta, tot orbes,
Tot Clypeos, tot Parmas, tot thoracas ahenos,
Tot loricatas tunicas, galeasque sudesque,
Tot gladios, squammas tot lata hostilia ferro,
Horrentes Cetras, clavas, venabula, contos.
Harpes cum capulis, mucrones, gesa, sarissas,
Rhomphaeas, Fundas, Orchestras, totque bipennes
Peltas, Astragalos, Catapultas, Scutas, Secures,
Ferrea rostra, globos, glandes, cristasque comantes,
Bombardasque truces, rapidumque imitantia fulmen
Tormenta, atque sono, proh! arma borrentia ab ipso (str. 24. — 25.)

A te wszystkie narzędzia dla tego, żeby naśladować płomienie i bomby Jowiszowe (flammas Jovis et bembes Olympi).

Zwiedza poeta daléj miasto aż do bramy,—ogląda wały i mosty, wstępuje do więzień i tu spis znowu sprzętów w więzieniach. Koniec księgi pierwszéj.

Jest-że tu poezja? w takim ogromie wierszy?

W drugiéj księdze, Wacław Klemens, opisuje apteki gdańskie.— Za lada zdarzoną sposobnością, przechodzi od przedmiotu, do przedmiotu. Stąd bajki stare jak świat o lekarzach i czarownicach, o cudowném przerodzeniu się Ezona, pochwała Galena i Hippokrata. Zatém niezręczne bardzo przejście do poetów i poezji,— utyskiwania, że nikt poezji nierozumie, że motłoch (vulgus) lubi więcéj mięso jak wiersz (potius carnem quam carmen). Stąd rzadko napotkać poetów.

Sunt rari? ac Pauci? rari paucique Poetae.
Sunt rari ac Pauci, numero vix, et totidem quot
Sunt *Gedano* portae, vel quot divortia *Vistae*! (str. 29).

„Mało jest poetów, tyle co ma bram Gdańsk i ujść Wisła." Znowu powiastki o Wenerze, Amfionie, Febie, Parnassie, Muzach. Oto nowe próbki stylu i nauki:

Versifices servum pecus, at tot ubique vagantur
Sidere quot Cancri Muscarum examina densis

Agminibus volitant per rustica mulctra, per ollas,
Qui βρεκεκὲξ, βρεκεκὲξ, βρεκεκὲξ, ceu rana palustris
Atque *coax*, iterumque *coax*, iterumque *coaxant*. str. 29.

„Wierszoklety jak bydło, snują się rojami, jak roje much uwijają się po naczyniach, po dojnicach wiejskich i skrzeczą jak żaby.”

Są niektórzy, co przez złoto stali się poetami— „ale nie wawrzyn, tylko gieniusz wawrzynu godny, czyni wieszczem.”

Non Laurus facit, ars at lauru digna *Poetam*.

Te uwagi prowadzą autora do wzmianki o szkołach Gdańskich, z których wychodzą filozofowie i poeci. Wacław każe Minerwie Ateny opuścić dla Gdańska. Następują obrazy pedagogiczne. Oto chłopiec— nieuk opuszcza szkołę, bo mu śmierdzi; książkę, bo cuchnie; (dosłownie: sordent libri, foetet schola), bawi się końmi i kielichem: żyć u niego,— to pić. Następuje miłość, a z nią żądza do kobiét... Co to ma wszystko do Gdańska?

Chce tutaj Wacław liczyć sławnych ludzi, co wyszli ze szkół Gdańskich. Ale zdobył się tylko na jednego Keckermanna i o reszcie zamilczał, boby sobie niedał rady; tyle imion! tyle sławy! Istotnie,—to było wygodniéj. Następuje przemowa jedna, do Nauczycieli, druga do Uczniów i uwaga:

Docti fulgebant ut SOL super ethere fulget
Lampades ut lucent, distinctoe lumine coelo! str. 34

„Uczeni błyszczéć będą jak słońce błyszczy wśród obłoków, jak błyszczą gwiazdy na różno-kolorowem sklepieniu niebios”.

Powiada autor, że Senatorowie Gdańscy wyszli ze szkół rodzinnego miasta i głosi ich sławę i porównywa ich z tłumem bohatyrów greckich i rzymskich. Tu na przykład podaje imiona Gizów, Różyców, Lindenów, Bodecków, Kempenów, Werdermannów, Ferberów, Cirenbergów i t. d. i t. d. Zatem, wyliczenie pytań ciekawych, które się rozwiązują w szkołach Gdańskich, a raczéj programma nauki.....

(Dokończenie nastąpi.)

NOWOŚCI.

Prace niektórych Professorów w r. 1846.

(Podług Dziennika Minist. Oświec Narod.)

Były Prof. Uniwersytetu, a potém Akademii wileńskiéj, dziś zwyczajny Professor Uniwersytetu Kijowskiego Ignacy Fonberg, przygotował do druku sprawozdanie ze swych badań: 1) o działaniu chémicznném trucizn—i 2) opisanie analiz z Chemii mineralnéj lub organicznéj, dokonanych przezeń w 1845 roku.

Professorowie zwyczajni: Uniwersytetu Petersburskiego *Zaborowski* i Moskiewskiego *Korowicki* wypracowali, *pierwszy*: projekt postępowania sądowego dla królestwa polskiego;—*drugi*: książkę podręczną do wykładu prawodawstwa kryminalnego w Królestwie polskiém (kurs przezeń czytany w Uniwersytecie po rossyjsku).

Linowski, zmarły nadzwyczajny Professor w Moskwie, zostawił *kurs* swój *Gospodarstwa wiejskiego* (po rossyjsku) który częściami drukuje *Moskwicin* (pismo czasowe).

Wojciechowski, starszy naucz. gymn. w Kałudze wydał: Loci memoriales e Ciceronis scriptis delecti i t. p.

Czajkowski starszy naucz. w gymn. Kamienieckiém, robi i zapisuje dostrzeżenia meteorologiczne w Kamieńcu Podolskim.

Nauczyciel szkoły powiatowéj Kresławskiéj umieścił w Atheneum Rzut oka na źródła do biografij Pisarzy polskich (ob istocznikach dla sostawlenija biografij polskich pisatielej) i przygotował do wydania 2 tomy Dykcijonarza pisarzy polskich.